

A close-up portrait of a woman with long, wavy, light brown hair and blue eyes. She is looking slightly to the right with a neutral expression. The background is dark with a subtle floral pattern.

mg



JOANNA M. CHMIELEWSKA

Poduszka w różowe słonie

mg

**JOANNA M.
CHMIELEWSKA**

Poduszka w różowe słońce

Copyright © 2011, Joanna M. Chmielewska

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-028-1

Projekt okładki: Maciej Sadowski

Opracowanie redakcyjne: Dorota Koman

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Beacie –
z podziękowaniem za sól i zapalki,
setki godzin przegadanych przy herbacie
i przyjaźń, której nie sposób przecenić.

– A Florian? Gdzie będzie spał?

Hanka drgnęła. Dziecięcy głos wyrwał ją z zamyślenia. Nie przyzwyczaiła się jeszcze do tej drobnej figurki z niebieskim misiem w objęciach, która od dziś miała z nią zamieszkać. Granatowa, nieco przydługa sukienka, niesforne kosmyki jasnych włosów wymykające się z kitek i duże, smutne oczy.

Hanka nie miała pojęcia, kim jest Florian, i zupełnie nie obchodziło jej, gdzie on będzie spał. Ale najwidoczniej Anię obchodziło. A skoro tak...

Nie umiała rozmawiać z dziećmi. Nie miała doświadczenia. Mimo trzydziestki na karku instynkt macierzyński Hanka spał jeszcze głębokim snem, a dzieci jawiły się jej jedynie jako źródło kłopotów i ograniczeń. Zazwyczaj unikała kontaktu z nimi. Ale teraz nie mogła go uniknąć. Zamknęła szafkę, z której rozpaczliwie usiłowały wydostać się na wolność małe, kolorowe rajstopki, i spojrzała na Anię.

– Jaki Florian?

– No, mój. – Dziewczynka przytuliła misia z całych sił, jakby próbowała obronić go przed niewidzialnym wrogiem.

– Florian... hm... Florian... A gdzie on chciałby spać?

– Ze mną. Florian zawsze śpi ze mną. Ale on musi mieć nocną lampkę. Florian boi się ciemności.

– Wobec tego znajdziemy jakąś lampkę – westchnęła Hanka.

– Niech się Florian nie martwi.

Cień uśmiechu przelotnie zagościł na białej twarzy dziewczynki. Poglaskała Floriana, poprawiła mu zieloną chustkę na szyi i zatrzymała wzrok na poduszce w chmurki leżącej na rozścielonej kanapie. Cień uśmiechu zniknął.

– A poduszka w różowe słonie? Florian nie zaśnie bez poduszki w różowe słonie.

Hanka bezradnie rozejrzała się po przygotowywanym w pośpiechu pokoiku dla Ani. O tylu rzeczach pamiętała; zabawki, książeczki, pościel w chmurki, kapcie i szlafroczek, szczoteczka do zębów, herbatka rozpuszczalna – koniecznie brzoskwiniowa, jogurt gruszkowy, płatki, w poszukiwaniu których zjeździła pół miasta, bo Ania jadła tylko jeden rodzaj i o żadnych innych nie mogło być mowy; o tym wszystkim pamiętała – mimo bezsennych nocy i przesiąkniętych rozpaczliwą bezsilnością dni, mimo biegania po urzędach i stosów papierków podsuwanych jej do wypełnienia przez bezdusznych urzędników, mimo poczucia, że dotarła już do granic swoich możliwości i więcej nie jest w stanie znieść. Pamiętała o tylu rzeczach, ale w tym momencie to wszystko nie miało znaczenia wobec faktu, że zapomniała o poduszce w różowe słonie. Bez której nie mógł zasnąć pluszowy miś.

Ten dialog przerastał jej możliwości. Cisnęło jej się na usta, że Florian jest tylko zabawką i jest mu zupełnie obojętne, na czym śpi, a Ania niech przestanie marudzić i kładzie się wreszcie do łóżka, ale powstrzymała się w ostatniej chwili.

– Jutro przywieziemy poduszkę dla Floriana, a dzisiaj jakoś wytrzyma.

– Nie wytrzyma. – Drobną buzia wykrzywiła się w podkówkę.

Hanka marzyła wyłącznie o gorącej kąpieli w wannie pełnej piany. Nie miała siły ani ochoty wracać do pustego mieszkania, gdzie czaiła się nieobecność. Wyglądała z szaf pełnych ubrań, których nikt już nie włoży, z napoczętych słoiczków kremu; oplotła grzebień pajęczyną jasnych włosów, rozsiadła się w ulubionym fotelu Ewy, odgniotła ślad na łóżku i ze wszystkich kątów krzyczała, że Ewa nie wróci. Nigdy. Przegrała z Nieodwracalnością.

A Hanka przegrała razem z nią.

Nie zdołała ocalić Ewy.

Tak samo jak przed laty nie zdołała ocalić Pana Żaba...

– Haniu! Haniu! Zobacz, co my tu mamy.

Pięcioletnie nóżki biegną najszybciej, jak potrafią. Nowa niespodzianka. Ogród jest pełen niespodzianek. Mrówki ciągną martwą muchę. Małe fioletowe kwiatki maciejki rozwijają się wieczorem, kiedy inne kwiaty idą już spać. Biedronka wspina się po liściu porzeczki, a maliny, jeszcze wczoraj niedojrzałe, dzisiaj są czerwone i słodkie. Z jaskółczego gniazodka pod dachem wyglądają dzióbki pisklaków, które ciągle krzyczą, że są głodne. Krople deszczu w pajęczynie na krzaku agrestu przypominają perły. Może księżniczki kwiatów robią sobie z tych kropeł naszyjniki? Bo Hanka wierzy, że w kwiatach mieszkają księżniczki. Nigdy ich nie widziała, ale czuje, że są. Dlatego rozmawia z kwiatami. Żeby księżniczki ją usłyszały. I przestały się bać. Hanka ma nadzieję, że kiedyś spotka którąś z nich. Najbardziej chciałaby, żeby to była Maciejka. Na pewno jest piękna. Ma fioletową sukienkę i fioletowe włosy. I tak ślicznie pachnie.

– Haniu! Szybciutko!

Mama przykucnęła przy oczku wodnym, a naprzeciwko niej, na wystającym z wody kamieniu siedzi niespodzianka. Ogromna, zielona jak nadzieja żaba. Największa żaba, jaką Hanka kiedykolwiek widziała.

Wyłupiaste oczy uważnie wpatrują się w dziewczynkę. Niespodzianka przez dłuższą chwilę trwa w bezruchu, po czym zgrabnym susem wskakuje do wody. Nie odpływa daleko. Kręci się w pobliżu brzegu i co jakiś czas zerka na Hankę, która nie odrywa od niej zachwyconego wzroku.

I dziewczynka już wie, że to nie jest zwyczajna żaba. To Pan Żab – zaczarowany książę, który przybył, żeby odczarować go pocałunkiem. Jak w bajce.

Pan Żab zadomawia się w ogrodzie, a Hanka bezskutecznie próbuje go złapać. Ale widocznie nie nadeszła jeszcze odpowiednia chwila. Hanka nie wie, kiedy nadejdzie, lecz przecież nie może jej przegapić, więc gania za Panem Żabem, gdy go tylko zobaczy. A Pan Żab droczy się z nią i kiedy już, już Hance wydaje się, że tym razem nie umknie, nagle wskakuje do

wody albo chowa się w zaroślach, by następnego dnia znowu kusić ją swoim rechotaniem.

Tęgo dnia Hanka jeździ rowerem po ogrodowych ścieżkach. Dopiero dziś pojęła tajniki jazdy na dwóch kółkach i nie idzie jej to jeszcze najlepiej. Z całej siły ściska kierownicę, jakby to mogło jej pomóc w utrzymaniu równowagi. Nagle Pan Żab niespodziewanie wyskakuje przed koła. Dziewczynka nie daje rady skręcić ani zahamować. Czuje pod kołami miękkie, żywe ciało. Rzuca rower i podbiega do przyjaciela. Żyje jeszcze. Lepka ciecz sączy się ze zranionego ciała. Wije się z bólu. Pan Żab, jej zaczarowany książę. Hanka kłeka przy nim. Łzy jak groch płyną jej po twarzy. Nie potrafi mu pomóc.

A może... A może to jest właśnie ta chwila? Ta jedna jedyna chwila, w której czary się spełniają? Dziewczynka bierze Pana Żaba na ręce, ostrożnie, żeby nie sprawić mu bólu. Pochyla głowę i nagle wszystkie świeższe przerywają swój koncert, ptaki milkną i cały ogród na moment zastyga w ciszy. Pan Żab wcale na nią nie patrzy. Życie uchodzi z jego zamglonego spojrzenia. Teraz! Ciemne rozpuszczone włosy dotykają drgającego, zielonego ciała i Hanka składa pocałunek na czole Pana Żaba. A potem, wstrzymując oddech, czeka na cud.

– Odczarowałam cię! Musisz żyć! Musisz!

Umiera Hance na rękach. Pan Żab, jej zaczarowany książę.

Jeszcze nie może w to uwierzyć. Jeszcze ma nadzieję. Bo przecież Czerwony Kapturek ożył. Wystarczyło tylko odwrócić kartkę w książce... Więc może i Pan Żab...

Skulona w kącie ogrodu głaszcze sztywniejące ciało. Ale cud nie przychodzi. I Hanka już wie, że życia przywrócić się nie da. I nie wszystko zawsze kończy się dobrze.

Przysypując piaskiem ciało Pana Żaba, mała dziewczynka po raz pierwszy mierzy się z Nieodwracalnością.

A potem rozpoczyna się dziecięca krucjata przeciwko śmierci. Hanka przenosi w bezpieczne miejsce ślimaki, które nieopatrznie wyszły na drogę, ratuje rybiki wspinające się po śliskich ścianach wanny i pająki wymiecione

gdzieś z kątów, karmi biedronki, które w domu znalazły sobie zimowe schronienie, patrzy pod nogi, żeby nie zdeptać nieostrożnych mrówek. Wszędzie dostrzega okruchy życia. Drobiniki, które trzeba chronić.

– Florian musi mieć poduszkę. Różowe słonie odganiają złe sny.

Za oknem płakał deszcz, czaszkę Hanki rozsadzało gromadzone od wielu dni napięcie, nie miała siły słuchać głuchej ciszy opustoszałego domu, ale przecież Florian nie mógł spać bez poduszki, więc co miała robić? Sprawdziła, czy ma w kieszeni kluczyki od samochodu.

– Wkładaj buty. Florian dostanie swoją poduszkę.

Dostała ją, tak jak obiecała. I małą lampkę też. A skoro już wszystko było jak trzeba, Hanka miała nadzieję, że wraz z wyłączeniem górnego światła jednym pstryknięciem na kilka godzin wyłączy ze swojego życia Anię i Floriana. Weźmie kąpiel, wypije herbatę, posiedzi w ciszy i spróbuje na nowo uporządkować świat. Albo po prostu tylko posiedzi sobie w ciszy, a porządkowanie świata odłoży do jutra.

Zaparzyła mocną herbatę w żółtej filiżance, wkroiła plasterek cytryny, wsypała łyżeczkę słodkich kryształków (zawsze lubiła pa-trzeć, jak rozpływają się i nikną), sprawdziła, czy dobrze posłodziła, i z westchnieniem ulgi zagłębiła się w bujany fotel.

Ten fotel był pierwszym zakupem do nowego mieszkania, spełnieniem marzenia z dzieciństwa, atrybutem domowości, więc kiedy tylko ujrzała go za oknem sklepu meblowego, nie mogła się oprzeć i kupiła go, nie bacząc na cenę. Wieczorami mościła się w nim wygodnie z filiżanką herbaty i książką. Gdyby ktoś pozwolił jej zabrać tylko jedną rzecz ze swojego domu, nie wahałaby się ani chwili. Wybrałaby fotel. Bujała się w nim teraz powoli, z przymkniętymi oczami, a fotel trzeszczał uspokajająco, jakby znajomym codziennym rytuałem chciał uśmierzyć jej ból. Hanka podniosła do ust filiżankę i zatrzymała ją w pół drogi.

Zza ściany dochodziło cichutkie pochlipywanie.

Próbowała udawać przed samą sobą, że nie słyszy. Zakłopotana i bezsilna wobec dziecięcej rozpaczki mieszała herbatę, chociaż cukier już dawno się rozpuścił. Stukanie łyżeczki o filiżankę nie zagłuszyło płaczu. Hanka czuła, że powinna coś zrobić.

Coś.

Teraz.

Ale zupełnie nie miała pojęcia, jak pocieszyć pięcioletnią dziewczynkę, której nagle zawalił się cały świat.

Hanka sączyła powoli herbatę, nie czując nawet jej smaku. Miała nadzieję, że problem rozwiąże się bez jej udziału, lecz kiedy w filiżance ukazało się dno, a łkanie nie ustawało, podniosła się z fotela.

Stała w drzwiach, bezradnie patrząc na zwinięte w pozycji embrionalnej dziecko.

– Aniu...

Żadnej reakcji.

– Cicho... cicho maleńka...

Hanka niezdecydowanie przysiadła na brzeжку łóżka, próbując odnaleźć w zakamarkach mózgu jakiś pomysł.

– Wiesz, mam taką płytę. Kiedy jestem smutna, muzyka czasami pomaga.

Włączyła... Łkanie to nasilało się, to cichło, rozplływając się w dźwiękach muzyki.

– Zaśnij sobie teraz... odpocznij... to był trudny dzień... jutro będzie lepiej... – szeptała Hanka, z wahaniem wyciągając rękę, ale kiedy już prawie dotykała jasnych włosów, cofnęła dłoń gwałtownie, jakby nagle ją coś oparzyło. Głęboko wciągnęła powietrze. Nie mogła tego zrobić. Nie umiała. Instynktownie czuła, że mała potrzebuje bliskości, ale tego Hanka nie potrafiła dać nikomu.

Nawet dziecku.

Ciało Hanki oplatała niewidzialna pajęczyna, która przy każdej próbie uwolnienia się z niej zaciskała się jeszcze mocniej. To nic,

że pająk dawno opuścił tę sieć. To nic. Jego złowrogi cień towarzyszył jej na każdym kroku. Czasami zapominała o tym. Tak jak przed chwilą, kiedy instynktownie chciała pogłaskać dziecko. Ona czasami zapominała. Ale ciało pamiętało zawsze.

Nie chciała o tym myśleć.

Nagle zrobiło się jej duszno. Gwałtownie szarpnęła okienną klamkę. Ponure zawrodozenie wiatru wdarło się do pokoju. Szybko zatrzęsnęła okno.

Dziecko wreszcie zasnęło przytulone do Floriana rozpartego na poduszce w różowe słonie, a Hanka zanurzyła się w gorącej kąpieli. Cóż z tego, kiedy woda nie splukała smutku, nie rozpuściła wątpliwości ani nie uwolniła jej od obaw. Żadnej ulgi. Sen też jakoś dzisiaj omijał jej łóżko, więc Hanka zrobiła sobie jeszcze jedną herbatę z cytryną, a potem przycupnęła na krześle w pokoiku Ani, gdzie paliła się nocna lampka, żeby Florian nie bał się ciemności. Ogrzewając dłonie filiżanką, wpatrywała się w jasne włosy rozsypane na poduszce, w rumianą od snu buzię, którą na kilka godzin opuścił smutek, w niedbale rozrzucone dziecięce ubrania.

Nie mogła postąpić inaczej. Nie mogła. Musiała dotrzymać obietnicy.

Ale jak pomieścić cały ten dziecięcy świat w swojej życiowej układance?

*

Dźwięk budzika wyrwał Hanę z pełnego majaków snu. Z trudem zwlekła się z łóżka. Skronie pulsowały bólem. Rzuciła okiem na swoje odbicie. Lustro nie było dzisiaj jej sprzymierzeńcem. Szara, zmęczona cera, podpuchnięte oczy, smętnie zwisające kosmyki włosów. Nie, tak nie mogła pokazać się w firmie. Bez względu na to, co wydarzyło się w jej życiu, musiała dobrze wyglądać. Mała, biała tabletki, prysznic, ekspresowa maseczka, perfekcyjny makijaż oraz kilka sztuczek, które zdradził jej znajomy fryzjer, przygotowały

Hankę na przyjęcie wyzwań dnia. Badawczo przejrzała się w lustrze. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, wyglądała nawet całkiem, całkiem. Ukryta za fasadą starannie dobranego stroju i perfekcyjnej fryzury, znowu poczuła się bezpieczna.

– Florian nie chce płatków. Ani mleka.

– A ty?

Milczenie. Wzrok wbity w stół. Małe dłonie nerwowo skubią błękitne futerko.

– Aniu, zjesz płatki?

...

– Może masz ochotę na coś innego?

...

– Zajrzyj do lodówki i coś sobie wybierz.

Hanka otwiera szeroko lodówkę, ale mała nie odrywa wzroku od stołu. Kręci w palcach niebieską, futrzaną kulkę.

– A Florian? Co chciałby dzisiaj na śniadanie?

– Florian nie jest głodny.

– W porządku. Ale jak zgłodnieje, to koniecznie mi o tym powiedz, dobrze?

Prawie niedostrzegalne skinienie głowy jest jedyną odpowiedzią.

Hanka sprząta ze stołu nieruszone mleko i płatki, myje filiżankę po swojej porannej kawie i strząsa okruchy chleba na parapet. Wróble nigdy nie gardzą resztkami jej śniadania. Dorzuca im jeszcze pokruszony kawałek bułki. Zazwyczaj zlatują się od razu, gdy tylko coś jadalnego pojawia się na parapecie.

Ale dzisiaj nie przylatują, tak jakby swoją nieobecnością chciały uświadomić Hance, że w jej uporządkowanym życiu nic już nie będzie jak dawniej.

W przedszkolnej szatni wśród rzędów ławeczek i szafek różniących się jedynie emblematami mamusi pomagają dzieciom

odpinać odporne guziki, wsuwają rozbrykane koszulki do spodni, poprawiają niesforne spinki we włosach. Potem jeszcze uściski na pożegnanie, całusy, kilka ciepłych słów mających znaczenie tylko dla zainteresowanych.

Hanka nie zna przedszkolnych rytuałów. Stoi sztywno, niecierpliwie zerkając na zegarek.

Ania rozbiera się przy szafce z hipopotamem. Zmieniała buty, ale nie może poradzić sobie z guzikiem. Nie prosi o pomoc, a Hanka jej nie proponuje. Wreszcie guzik puszcza i kurtka ląduje na podłodze. Ania podnosi ją i wieszka do szafki.

– Przyjdę po ciebie o trzeciej. Do zobaczenia.

Przy odrobinie dobrej woli niewyraźne mruknięcie Ani można uznać za pożegnanie. Hanka rusza do wyjścia, a zgarbiona dziewczynka z misiem w objęciach powoli oddała się w stronę sali pięciolatków.

Minutę po ósmej zdyszana Hanka wpadła do firmy. Źle wyliczyła czas, a na dodatek samochód nie chciał zapalić, chociaż niedawny przegląd przeszedł bez problemów i nigdy wcześniej nie robił jej takich numerów.

Zazwyczaj Hanka, podobnie jak i inni pracownicy, już za piętnaście ósma siedziała przy swoim biurku i parzyła kolejną kawę. Szef był bardzo czuły na punkcie spóźnień. Na szczęście dzisiaj wyjechał w delegację, co konspiracyjnym szeptem oznajmił Hance pan Stasiu z portierni, kiedy w pośpiechu omal nie skręciła nogi na schodach. To była pierwsza dobra nowina dzisiejszego dnia.

– No, Hanka, nareszcie! Jeszcze trochę i zginęłybyśmy przysypiane tymi papierzyskami. Jak tam urlop?

Głos Marzeny dobiegał z jakiegoś innego świata, który jeszcze niedawno był też światem Hanki, ale teraz jej myśli błądziły gdzieś daleko stąd, a ona nie umiała ich pozbierać. Cała ta biurowa scena wydawała się jakaś nierzeczywista. Jakby oglądała dekoracje do

filmu. Grała w nim kiedyś jakąś rolę i najwidoczniej oczekiwano, że będzie grała ją nadal.

Piętrzący się stos papierów na biurku, kubek z żyrafą, paprotka na oknie, bo paprotki podobno korzystnie jonizują powietrze, długopis w zielone paski – znajome biurowe rekwizyty zdawały się relikdami życia, które już nie wróci. Kiedy ostatnio tym długopisem podpisywała podanie o urlop, Ewa jeszcze żyła. To było tak dawno... i tak niedawno zarazem.

Za chwilę Hanka znowu usiądzie przy biurku, włączy komputer, zaparzy kawę w kubku z żyrafą, ale nic nie będzie już takie samo...

– Coś tak zaniemowała? To do ciebie niepodobne. Co właściwie robiłaś na tym urlopie?

No tak, przecież nic im nie powiedziała. Właściwie nigdy nie mówiła o sobie nic ważnego, bo i po co? Śmiała się z nimi, rozmawiała, chodziła na imprezy, ale te rozmowy i żarty ślizgały się zaledwie po powierzchni życia. Nikt nie znał Hanki prawdziwej, zresztą nie było na to czasu. W firmie najważniejsza była dyspozycyjność. Święte słowo, wymawiane z nabożeństwem przez dyrektora na firmowych szkoleniach: „Bo, proszę państwa, dyspozycyjność – w tym momencie zazwyczaj kierował wzrok w niebo – dyspozycyjność to najważniejsza cecha pracownika naszej firmy. I firma to doceni”. Doceniała, trzeba to przyznać, więc byli dyspozyczjni. Zostawali po godzinach, zdarzało się im pracować i w nocy, bez protestu wyjeżdżali na szkolenia, o których dowiedzieli się dzień wcześniej, nie bacząc na własne plany, na obiecane dziecku wyjście do cyrku, na randkę, a kiedy nadchodził wreszcie zasłużony weekend, uwiązani na smyczy służbowych komórek podskakiwali na każdy dźwięk telefonu. Wszyscy tak żyli. Hanka również. Nagrodą była nadzieja na awans i premia, której Hanka nie miała nawet czasu wydać, bo kiedy opuszczała biuro, większość sklepów była już zamkniętych, więc zjadała tylko porcję frytek lub pizzę w jakimś barze i biegła do domu albo do Ewy, aby zawieźć ją do kolejnego cudotwórcy.

Co miała im teraz powiedzieć? Że w czasie urlopu straciła jedyną przyjaciółkę, a potem przyjęła pod swój dach pięcioletnią dziewczynkę i pluszowego misia, który nie chce jeść płatków na śniadanie? Nie znosiła współczucia. I zakłopotania, jakie ludzie przejawiają wobec śmierci.

– Miałam takie tam różne sprawy do załatwienia.

– Różne sprawy... Hm... Bładość, lekko podkrążone oczy... Najwyraźniej nie wysypiałaś się w czasie tych dwóch tygodni. A może to ktoś nie dawał ci się wyspać? – Iwona wtrąciła swoje trzy grosze.

– Mamy wrzątek, chcesz kawy?

– Myślcie sobie, co chcecie. – Hanka usiłowała wykrzesać coś na kształt cienia wieloznacznego uśmiechu, podstawiając pod strumień wody kubek, na dnie którego piętrzyła się górka kawowych granulek.

– Bo widzisz, nie wiem, czy będziesz zainteresowana. Ja bym była, gdyby nie Robert. Szef przyjął nowego! – Iwona wyrzucała słowa z szybkością karabinu maszynowego. – Ale ciacho... Mówię ci, jest na czym oko zawiesić. Ten tyłeczek szczególnie...

Skrzypnęły drzwi. Gośka aż ugięła się pod stosem broszur i ulotek, które zsunęła na biurko Hanki.

– To dla ciebie. Materiały szkoleniowe. A czyj to tyłeczek obrabiacie, dziewczyny?

– Najnowszy tyłeczek w firmie oczywiście.

– A, nowy nabytek naszego szefa! Owszem, niczego sobie, niezłe ciacho z niego, ale nie w moim typie. Ja tam lubię facetów konkretnych, kawa na ławę i już, a on jest jakiś taki... za skomplikowany już na pierwszy rzut oka.

– Ale do Hanki by pasował. – Iwona nie dawała za wygraną. – Ona też jakaś skomplikowana po tym urlopie się zrobiła.

– To się nazywa szok pourlopowy – wykręciła się Hanka. – Dajcie mi dojść do siebie. A co wy beze mnie tylko plotkowałyście i piłyście kawę, że aż tyle się tego wszystkiego nazbierało?

– No coś ty! Harowałyśmy jak głupie osły, jak zwykle. Ale wiesz, jak to z szefem, nowe pomysły, nowe inicjatywy, dzisiaj o piętnastej trzydzieści zebranko się szykuje, jakbyś miała nadzieję, że wyjdiesz wcześniej z pracy, to porzuć ją bezpowrotnie.

– Stasiu mówił, że szef w delegacji.

– Do piętnastej trzydzieści wróci. Przecież on żyć bez nas nie może.

Hanka westchnęła. Znowu wszystko w biegu. Przedszkole do siedemnastej. Żeby tylko zebranie się nie przeciągnęło. Usiadła przy biurku, próbując się skupić. Włączyła komputer. Monitor mrugnął do niej porozumiewawczo. Na klawiaturze osiadła szara mgiełka zapomnienia. No tak, pani Jadzia sprzątała bardzo dokładnie, ale komputery uważała za świętość i nie ośmielała się ich dotykać. Hanka przetarła klawiaturę i monitor chusteczką. Znajomy kształt myszki w dłoni działał uspokajająco. Komputer cichutko pomrukiwał, a Marzena i Iwona wreszcie zajęły się pracą.

Odebrała wiadomości. Jedno pytanie od kontrahenta, z którym poradziła sobie w pięć minut, resztę – internetowe śmieci usunęła. Zabrała się za dokumenty na biurku. Sprawnie wypełniła formularze F5, przejrzała materiały szkoleniowe, zdecydowała, które warto powielić. Powoli ogarniała ją biurowa rutyna.

– Dzień dobry, szukam pani Hanny Jankowskiej. – Nieznany głos oderwał ją od pracy.

Podniosła głowę znad biurka, poprawiła opadającą na oczy postrzępioną grzywkę.

– Słucham?

– Pani poczta zabłądziła na moje biurko.

Mężczyzna wyciągnął ku niej rękę z pokaźną paczką listów. Miał silne dłonie i nie nosił obrączki. Hanka podniosła się z krzesła i odebrała listy.

– Dziękuję. W firmie mówimy sobie po imieniu. Chyba że komuś to nie odpowiada.

– Odpowiada jak najbardziej. Łukasz.

– Hanka.

Zarejestrowała mocny uścisk dłoni, piwne oczy, lekko falujące ciemne włosy, kilkudniowy zarost i... Dziewczyny miały rację. Tyłek rzeczywiście niczego sobie. Ale przede wszystkim było w nim coś, czego nie potrafiła sprecyzować, coś, co różniło go od kolegów z firmy. Kiedy w wyobraźni próbowała zobaczyć go za biurkiem, nieodparcie narzucał się jej obraz Łukasza przemierzającego przestrzeń na końskim grzbiecie albo w ostateczności na rowerze. Ewentualnie odpoczywającego z gitarą przy ognisku. Wspinaczka górską i owszem, ale nie wspinaczka po szczeblach kariery. Nie pasował tutaj po prostu.

A ona? Czy ona tu pasowała? Podjęła tę pracę ze względu na Ewę. Nie chciała tracić czasu na szukanie. Wzięła, co było, tym bardziej że zaproponowano jej atrakcyjne warunki finansowe. Czy miała ochotę pracować tu nadal? Co właściwie trzymało ją w tej firmie i w tym mieście? A z drugiej strony, czy cokolwiek ciągnęło ją gdzie indziej?

Pomyśle o tym później, sparafrazowała słowa swojej ulubionej bohaterki, ale właściwie najchętniej nie myślałaby o niczym. Gdyby tylko można było znaleźć w sobie odpowiedni guziczek i wyłączyć na jakiś czas funkcję myślenia i czucia... Dopóki nie przestanie boleć.

Rzuciła się w wir pracy, tłumacząc zaległościami niechęć do biurowych pogawędek, i dwadzieścia po trzeciej na jej biurku leżały już tylko materiały, które miała wziąć na zebranie.

Szef jak zwykle miał wiele do powiedzenia. Rzucał pomysły, usiłując zarazić zespół entuzjazmem. I trzeba przyznać, że czasami mu się udawało. To jemu zawdzięczali, że mała lokalna firma cukiernicza rozrosła się w ostatnich latach i podbiła rynek krajowy, co miało też swoje odzwierciedlenie w ich zarobkach. Bo trzeba przyznać, że szef był wymagający, ale o pracowników dbał.

A w najbliższych dniach produkowane przez nich słodczyce miały wyruszyć na podbój Europy.

Hanka niecierpliwie zerkła na zegarek. Dwadzieścia po czwartej. Siedziała jak na szpilkach, ale w firmie nikomu nie mieściło się w głowie, że można wyjść w czasie zebrania. Szczególnie po nieplanowanym wcześniej dwutygodniowym urlopie. Strzałki zegarka pędziły jak szalone. Dwadzieścia pięć po czwartej... dwadzieścia siedem... wpół do piątej... Hanka nie słuchała już, tylko wpatrywała się we wskazówki, jakby w ten sposób mogła spowolnić ich bieg.

– ...Hanka, pomożesz Iwonie. – Słowa dyrektora zaskoczyły ją kompletnie. – Lokal zamówiony, pozostało dograć szczegóły. Piątek, godzina osiemnasta, Crazy dog. To wszystko na dzisiaj. Życzę miłego wieczoru.

– O co chodzi? – spytała Iwonę.

– Spotkanie integracyjne ze szkoleniem. W piątek. Zapomniałam ci powiedzieć.

– W który piątek?

– Najbliższy. Nie przejmuj się, prawie wszystko już załatwiłam.

– O cholera! Nie mogę.

– Chyba żartujesz! Przecież wiesz, że „nie mogę” nie wchodzi w grę.

– Wiem, ale... No nic, jutro pogadamy. Strasznie się spieszę.

Hanka w biegu dopinała płaszcz, szukała kluczyków i klęła jak szewc, czekając na czerwonych światłach. Za trzy piąta znalazła się pod drzwiami przedszkola. W szatni powitały ją rzędy pustych wieszaczek i oburzona mina szatniarki.

– Nareszcie! Ania jest dzisiaj ostatnia. – Kobieta patrzy na Hanę z dezaprobatą. – Ania, do domu! – krzyczy w głąb przedszkolnego korytarza.

Nikt nie wychodzi.

– Niech pani idzie po nią – prychnęła szatniarka, zmieniając służbowy fartuch na wypłowiłą kurtkę.

Mała siedzi w kącie sali wtulona w futro Floriana.

– Aniu! Naczekałaś się trochę, ale już jestem.

Dziewczynka nie reaguje. Hanka kuca obok niej.

– Musiałam zostać dłużej w pracy. Przepraszam. No, chodź już.

Dziecko wstaje z ociąganiem i, nie spojrzawszy na Hankę, kieruje się do szatni.

– Niedobrze, że Ania została dzisiaj ostatnia – zagaduje Hankę wychowawczyni, podczas gdy dziecko mocuje się z opornym guzikiem, który nijak nie chce się zapiąć. – Prawie cały dzień przesiedziała w kącie, a gdy popołudniu zaczęli przychodzić rodzice, rozplakała się i w ogóle nie mogłam jej uspokoić. Gdyby pani mogła odbierać ją wcześniej...

– Spróbuję – odpowiada Hanka, zastanawiając się, jak to zorganizować. Przez kilka dni może jakoś się uda. Ale na dłuższą metę... I jeszcze to piątkowe spotkanie.

Dyrektor często szykował im takie niespodzianki. Krótkie szkolenie, a potem ciągnąca się do późnych godzin nocnych impreza w renomowanym lokalu. Za każdym razem w innym. Dobra muzyka, doskonałe jedzenie, alkohol. Obecność obowiązkowa. Dla szefa praca była najważniejsza. I tego samego oczekiwał od swoich pracowników. Hanka mogła próbować wymknąć się wcześniej, lecz nie mogła tam nie pójść, nawet gdyby udział w organizacji tych imprez nie należał do jej obowiązków. Ale co z małą? Nie miała jej z kim zostawić.

Deszcz tysiącem mokrych pieczętek znaczył samochodowe szyby, a wilgotny listopadowy wieczór wślizgiwał się do wnętrza samochodu. Ania uparcie wpatrywała się w szybę. Początkowo Hanka próbowała ją zagadywać, ale wkrótce zrezygnowała, bo dziewczynka się nie odzywała. Kłopotliwe milczenie wypełniło samochód, a potem powlokło się za nimi po schodach i przez uchylone drzwi wśliznęło się do mieszkania.

Hanka nie cierpiała deszczu, zimna, a przede wszystkim nie cierpiała listopada. I ciemności, która coraz wcześniej spowijała

świat mrocznym całunem, sprawiając, że znajome kształty nabierały złowrogiego charakteru. W takie wieczory ratowała się lampką wina lub filiżanką kawy i dobrą książką. Na jej kartach szukała świata wolnego od listopada, bujając się w fotelu. Ale dzisiaj nie mogła się skupić. Trzask drzwi od łazienki, szuranie kapci i wydmuchiwanie nosa dobiegające z sąsiedniego pokoju sprawiały, że Hanka czuła się obco we własnym domu.

Gdyby mogła przewidzieć, jak potoczy się życie, czy wtedy też złożyłaby obietnicę?

Wszystko zaczęło się od tej szarej koperty... a właściwie od dzielonego na pół ptasiego mleczka w małym miasteczku daleko stąd...

Ileż to już lat minęło, a ptasie mleczko ciągle ma dla niej smak wspomnień... i powinności.

Nie. To nie tak. Wszystko zaczęło się przecież znacznie wcześniej.

Od białej kokardy...

Morze białych kokard faluje na czarnych, brązowych i jasnych włosach. Błękit wrześnieowego nieba, zieleń otaczających boisko drzew i opalone dziecięce buzie silnie kontrastują z surowością biało-granatowych strojów. Lato uwięzione w szkolnych mundurkach.

Zaciekawione główki odwracają się we wszystkie strony, uważnie badając nieznaną im szkolną rzeczywistość. Hanka stoi wśród pierwszaków. Nie zwracając uwagi na przemówienie dyrektora szkoły, strząsa niewidzialny pyłek ze swojej nowej niebieskiej spódniczki, z której jest bardzo dumna. Dobrze się w niej tańczy, a kiedy Hanka obraca się, spódniczka wiruje tak mocno, że aż widać majtki w niebieskie kropki. Sprawdziła to dzisiaj rano przed lustrem. Bluzkę też ma nową. Śnieżnobiałą, z falbankami przy kołnierzyku i przy rękawach. I jeszcze buty – białe lakierki z kokardkami przy zapięciu. A fryzura... Hanka potrząsa głową i włosy przewiązane opaską z białą kokardą rozsypują się na ramionach. Świeżo

umyte, puszyste, leciutko pachną owocowym szamponem. Dziewczynka bierze jeden kosmyk do ust i gryzie go w oczekiwaniu na koniec apelu, rozglądając się wśród obcych twarzy. Nie zna nikogo oprócz Arka z przedszkola, ale przecież nie usiądzie w jednej ławce z chłopakiem.

Wtem jej wzrok przykuwa cudowna biała kokarda górująca nad innymi. Z cienkiego jak mgiełka materiału, przystrojona maleńkimi perłkami, jedyna tak piękna wśród zwykłych białych kokard zdobiących głowy innych dziewczynek. Jej właścicielka też się wyróżnia. Jest najwyższa z całej klasy. Falujące jasne włosy sięgają jej aż do pasa. Oczy ma orzechowe, rzęsy długie i ciemne, a kiedy się uśmiecha, w prawym policzku robi jej się śmieszny mały dołeczek. Hance podoba się w niej wszystko, ale najbardziej ten dołeczek. I kokarda.

I nagle ta nieznajoma dziewczynka zatrzymuje wzrok na twarzy Hanki i przesyła jej uśmiech. A Hanka czuje się tak, jakby uśmiechnęła się do niej sama królowa. I gdyby mogła teraz poprosić o coś złotą rybkę, to poprosiłaby, żeby ta niezwykła istota usiadła z nią w jednej ławce. Ale sama nie śmie tego proponować. Od czasu do czasu zerka więc tylko na nią nieśmiało. I aż gorąco jej się robi z wrażenia, kiedy właścicielka śmiesznego dołeczka i najpiękniejszej kokardy na świecie zagaduje ją po apelu:

– Cześć, jestem Ewa. Będziesz ze mną siedzieć?

– A ja Hanka... – Z wrażenia ledwie może wydobyć głos. – Będę. Jasne, że będę! – powtarza jeszcze raz głośniejsze, bojąc się, że Ewa jej nie usłyszy i proponuje to komuś innemu.

– Pierwsza „be”, ustawcie się w pary! – nawołuje wychowawczyni, a wtedy ciepła ręka Ewy wsuwa się w dłoń Hanki i w tym momencie Hanka, która czuje się jak wypełniony radością balonik, miałaby ochotę skakać, krzyczeć i śpiewać, ale trzeba już iść do klasy, więc tylko mocno ściska rękę nowej koleżanki i razem z nią maszeruje w karnym dwusze-regu pierwszoklasistów.

Wracają razem do domu. Ewa mieszka niedaleko Hanki i aż dziw, że się dotąd nie spotkały, ale teraz usiłują to nadrobić i buzie im się nie zamykają.

– Ja najbardziej lubię niebieski, a ty?

– Zielony – odpowiada Hanka – i czerwony, i żółty... A masz jakieś zwierzę w domu?

– Tylko rybki, ale z nimi nie można się bawić. Chciałabym psa, ale mama się nie zgadza.

– Moja też się nie zgadza, ale ja nie mam nawet rybek.

– A lody jakie lubisz? – dopytuje Ewa, kiedy zbliżają się do lodziarni, przed którą długa kolejka wije się niczym biało-granatowy wąż.

– Wszystkie – oblizuje się Hanka – ale najbardziej malinowe.

– A ja truskawkowe. – Ewa wysupłuje drobniaki z kieszeni, Hanka dorzuca swoje i okazuje się, że wystarczy im akurat na dwie małe porcje.

Ustawiają się więc w ogonku spragnionym słodko-zimnego smaku lata, a tuż za nimi staje krótko ostrzyżony, niski mężczyzna. Jedyne dorosłe wśród oczekujących na lody dzieci. I kiedy dziewczynki z wafelkami pełnymi różowej słodkości wychodzą z lodziarni, i nadchodzi jego kolej, odprowadzając wzrokiem białą kokardę Ewy, zwraca się do sprzedawczyni:

– Dla mnie malinowe i truskawkowe jak dla tych panienek.

Zaferowane sobą nawet go nie zauważają, a zresztą niby dlaczego miałyby je obchodzić jakiś obcy mężczyzna.

– Zostaniesz moją przyjaciółką? – proponuje Ewa, wkładając do buzi ostatni kawałek wafelka.

– No pewnie. – Hanka jest w siódmym niebie. – Taką prawdziwą przyjaciółką?

– Najprawdziwszą. Aż do śmierci. Chcesz?

– Aż do śmierci! – powtarza z nabożeństwem Hanka. – Przysięgam na... przysięgam na moją mamę!

– A ja... – Ewa szuka w myślach świętości, która pozwoliłaby jej przebić przysięgę Hanki – a ja na anioła stróża!

Chwytają się mocno za ręce i chwilą uroczystego milczenia pieczętują przysięgę.

– Wiem, co zrobimy. – Ewa przerywa milczenie, ściągając z włosów wstążkę. – Na znak przyjaźni zamienimy się opaskami!

Hance nie trzeba dwa razy powtarzać tej propozycji i już po chwili najpiękniejsza kokarda na świecie zdobi jej włosy.

– Prześliczna – szepcze z zachwytem nowa właścicielka, przeglądając się w wystawie sklepowej.

Ewa odprowadza Hankę pod dom, potem Hanka z kolei odprowadza Ewę, po czym przemierzają tę trasę raz jeszcze i wreszcie rozstają się w połowie drogi, już nie mogąc doczekać się jutrzejszego spotkania.

Hanka czuje, że zapamięta ten dzień do końca życia. Jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa. Dumnie wyprostowana niczym królowa stąpa powoli, szukając swojego odbicia w witrynach mijanych sklepów. Kokarda na jej głowie drży delikatnie jak motyl, który przysiadł tu tylko na chwilę. Dziewczynka ma wrażenie, że razem z opaską dostała od Ewy trochę jej niezwykłości. Nie jest już tą samą co rano zagubioną Hanką, która nie wie, z kim usiąść w ławce. Ma przyjaciółkę i najpiękniejszą wstążkę na świecie! I może ma nawet dołeczek w policzku? Najchętniej pobiegłaby jak najszybciej do domu, żeby to sprawdzić, ale przecież taka kokarda do czegoś zobowiązuje. Idzie więc dostojnie, bez pośpiechu, jak na właścicielkę najwspanialszej kokardy pod słońcem przystało.

Ewa...

Dzięki niej wszystko, co najpiękniejsze w dziewczyńskiej przyjaźni, staje się udziałem Hanki.

Dość wspomnień. Pora na kolację. Hanka niewiele wiedziała o dzieciach, ale jednego była pewna – dzieci powinny się regularnie odżywiać.

Może naleśniki?

Ewa często robiła naleśniki. Ania je lubiła. Zresztą Hanka i Ewa też. Już w trzeciej klasie umiały je przygotować. Kiedy miały ochotę na coś słodkiego, po prostu wyciągały mąkę, jajka, mleko i smażyły delikatne placuszki przekładane dżemem truskawkowym. Ich przyjaźń miała smak naleśników. Miała też wiele innych smaków – rozgrzanych słońcem leśnych malin, niepowtarzalnych kluch na